

Kronika tygodniowa.

Myślałem, że bodaj w tym tygodniu uda mi się rozpocząć wielkopostne medytacje, zwłaszcza, że minęło już środoposcie, niestety, w głowie mam ciągle jeszcze karnawał, tym razem przecież, dla odmiany, koci.

Jak Szanownym Czytelnikom wiadomo, mamy już marzec, a miesiąc ten przeznaczony jest na koci amory, na czym najgorzej wychodzi rodzaj ludzki, najlepiej myszy. Ludzie dlatego, iż dzięki kocin kwikom spać nie mogą, myszy zaś radują się, iż dla nich nadszedł właściwie karnawał, zakochany bowiem kot (każdy z nas wie to z własnego doświadczenia) nie myśli wcale ani o jedzeniu, ani o piciu, tem bardziej zaś o łowieniu myszy, ale jeno ciągiem wzdycha, miauczy, ogonem kręci i oczyma z uczuciem wywraca.

Niżej nie podpisany, jako liczący się do rodzaju ludzkiego, klnie więc razem z innymi na cały kocin ród, obiecując mu zemstę za nieprzespane noce, ma jednak i drugi, ważniejszy nawet powód do irytacji. Rozzuchwalone myszy dobierają się nie na żarty do wojennych zapasów, lekceważąc sobie wszelkie ogłoszenia, rozporządzenia, zakazy i pouczenia władzy, iż na razie od jedzenia wstrzymać się należy. Jaką zaś plagą są te, choć małe, ale nieznosne gryzonie, niech będzie dowodem, iż w jednym znajomym domu złapało się w przeciągu dwu dni tylko ośm okazów opasowych!

Aż żal było je topić! Ongiś w Paryżu za jedną sztukę możnaby było dostać bodaj pół franka. Jednego dnia mysie ogonki w pasztecikach, drugiego potrawka z myszy na kwaśno z kaparkami.

Ba, ale na tem jeszcze nie koniec! Ponieważ w kocim kalendarzu zaznaczony jest widocznie czas ochronny na myszy, dają się one we znaki nawet redakcyom, słyszałem też z pewnego i to bardzo źródła, iż zakradły się do biurka jednego z naczelników redaktorów i pogryzły cały plik nastrojowych utworów. Czy im to wyszło na zdrowie, nie wiem, w każdym razie wątpię. Ja czytuję czasem różne impresje, a już mi się źle robi, cóżby było dopiero, gdybym je zjadł! Wartoby się zastanowić, jaki byłby skutek.

Wszystkiemu temu winny jednak koty! Sam widziałem pewną redakcyjną kotkę w towarzystwie bardzo podejrzanego konduity kocura i aż złapałem się za włosy! Niestety, skończyło się na niczem, strzecha moja przerzedzona jest nielitościwie grzebieniem czasu i, miast czupryny Absalona, świeci tam potężna łysina. Z tego wynika, iż nie było się za co złapać!

Może to jednak i lepiej! Wiadomo każdemu z biblii, iż Absalon powiesił się pono na czuprynie, a ja jestem właśnie w tem stadyum, w którym człowiek usposobiony jest stanowczo samobójczo.

Niechaj jednak nie posądzi mnie kto o to, iż może ów koci karnawał tak przygnębiająco na mnie podziałał... Broń Boże! Jako leciwy i całkiem zrównoważony obywatel jestem już nieczuły na wszelkie pokusy, ergo nie potrzebuję wcale, jak ś. p. Zagłoba, puszczać sobie krwi na wiosnę. Przebaczyłem także i myszom, irytuje mnie natomiast pogoda.

I, temu nikt się chyba nie będzie dziwić, miałem już ochotę powiesić się z rozpacz, zrezygnowałem przecież z zamiaru, gdyż nie miałem nigdy i nie mam i teraz „wyższych aspiracji“. Wściec ze złości także się nie opłaci, choćby tylko ze względu na zakaz miejskiego fizykatu, który tego stanowczo odradza, a nawet opornym grozi surowymi karami.

Bo i któż myślał, że tego roku, właśnie wtedy, gdyśmy się spodziewali już wiosny, będziemy mieć akurat zimą?

Gdybym bodaj był amatorem sportu saneczkowego, nicbym nie mówił, wiedzą przecież Czytelnicy i Czytelniczki, że, owszem, jestem wrogiem tego rodzaju kręcenia sobie karków i wybijania zębów. Jeśli się to ma już stać czymś udziałem, niech się stanie w sposób naturalny.

W atmosferze, zaznaczyć przecież należy, co się popsuło. Prawdopodobnie referenta od niej właściwego powołano do służby wojskowej, zastępuje go zaś ktoś niefachowy, który o robieniu pogody ma takie akurat pojęcie, jak, nie przymierzając, ja o chińskiej gramatyce!

Dawniej, według starego przysłowia, jeździł sobie święty Marcin na siwym koniu, dziś chodzi piechotą, w kaloszach i pod parasolem, zamiast niego wstąpił zaś do kawalerii św. Kazimierz i pokazał się nam na siwku.

Co to zaś za radość była między saneczkarzami, gdy śnieg zaczął padać, a mróz brać, niczem w gru-

dniu! Kto żył, cieszył się, że w niedzielę użyje przyjemności sportowej, nie zawiodł się też tym razem! Podążyła pod kopiec Kościuszki gromada młodych i starych, tłustych i chudych, nie brakło nawet ślepych i kulawych!... Jedni brali czynny udział w saneczkowaniu, inni przyszli, by paść swe oczy cudzem nieszczęściem i śmiać się „z cudzego upadku“.

Było zaś co widzieć! Tu poważny filozof zapomniał o Homerze i Herodocie i leci z góry na dół na złamanie karku, tam uroczą panienka pokazuje, co umie...

Uradowało się przecież serce moje, ale nie na widok, gdyż tam nie byłem, lecz na wieść, iż pewnej niewieście młodzian jakowyś niezgrabny, obcasem szczękę naruszył, nie wiem przecież, czy to była szczęka naturalna, czy sztuczna... Jakkolwiek jednak było, wyobrażam sobie jej zmartwienie, gdy przez jakiś czas pozbawioną będzie biedna kobieta przyjemności mówienia!...

Kobiety zaś w tym wypadku są strasznie nieszczęśliwe! Zdarzyło mi się niedawno, iż sąsiadka moja od samego rana do samej nocy tak wymyślała bez ustanku, że nawet mnie to, choć z natury nie jestem ciekawy, zaintrygowało.

Pytam więc jej męża, gdy go spotkał, co mogło być powodem jej irytacji. Odpowiedział:

— Ano! Moja Basia gniewa się, bo jej lekarz zakazał mówić!

Taka to też i nasza młodzież dzisiejsza! Dawniej młodzian, spotkawszy na drodze swej podwikę, piekł raczka, lato było, czy zima, dziś, nie zważając na wiek, obcasem uszkadza szczękę, niechby nawet sztuczna, a może jeszcze nie zapłaconą!

Gniewa mnie jednak, iż absolutnie nie można wierzyć starym, wypróbowanym przez ojców przepowiedniom meteorologicznym. Święta Barbara wykiwała nas w grudniu, mróz w dzień Matki Boskiej Gromnicznej zawiodł nas także i dzisiaj żal mi tego niedźwiedzia, o którym pisałem, że rozwalił swą budę. Musi biedak marznąć, ale jest o tyle w lepszym od nas, ludzi, położeniu, że nie potrzebuje wykupywać na gwałt futra ze zastawu. Świętemu Maciejowi biorę za złe, że przyłożył do tego rękę w myśl starego przysłowia, które mówi: „Święty Maciej zimę traci, albo ją bogaci“.

I wzbogacił ją, ale zupełnie niepotrzebnie. Kto wie, czy na Zielone Święta nie pojedziemy saniami na Bielany, w każdym razie, na wszelki wypadek, już dziś zamówię sobie sanki na Emaus u Żeglikowskiego.

A ile wycierpią przez tę zimę nadprogramową biedne, romansujące na dachach, kotki? Żal mi ich, lecz im nie poradzę nic na to. Niech cierpią... Ale one sobie nic z tego nie są robiące, boć: „Serce nie sługa, nie zna, co to pany“...

W marcu zaś u kotków właśnie serce i nic, tylko serce w grę wchodzi.

Cieszymy się jednak nadzieją, że połowa marca już dobiega, koci karnawał prędzej się zaś skończy, bo się wcześniej wyjątkowo zaczął. Nawet we wschodniej części kraju nie zważały kotki na różnice kalendarza.

Ale, jak powiada Rusin „kużdaja ricz maje i swoju szatenzajtu“... Ma ją więc dla nas i marzec, bo się skończy, a po nim nastąpi kwiecień. Na kwiecień zaś, w samym początku, przypadają Święta Wielkanocne, połączone z coroczną rzezią niewiniątek, co to rykiem otwierają sobie furtkę i czasem „dzień dobry!“ mówią do okienka, ale tylko wtedy, jeśli ono jest nisko umieszczone.

Tak! Wielkanoc się zbliża, a na każdym z ojców rodzin cierpieć skóra i kurczy się ze strachu serce i pugilares. Zuów żona zażąda kredytów nadzwyczajnych, a tu wszystko takie drogie! Jedne, jedne, po obywatelsku usposobione kurki jakoś nam idą na rękę i znoszą jaja (sześć centów sztuka, czasem śmieszniejsze!... przyp. zecera), są z tego jednak dumne, że... nie przystępują do nich bez kija! One wiedzą, jakie już położyły i jeszcze położyć zasługi, najnowszą taryfą maksymalną wyraziła im też pełne uznanie, nie podnosząc ceny jaj. Lecz jaja same nie wystarczą! Na święta trzeba i świątecznego ciała i różnych bałabuchów z zakalcami i bez, co zaś najważniejsze, wilgotności różnego rodzaju.

Grozi nam zaś brak piwa, gdyż ograniczono wyrobów siodu, podobno jednak nie powinniśmy się obawiać, by nam brakło wina.

Jak bowiem wyraził się jeden z krakowskich grośnistów:

— Póki wodociąg miejski jeszcze funkcjonuje, fabryka w mej piwnicy nie ustanie!

Biedni więc jesteście ojcowie rodzin i ja jestem także w tem samym położeniu! A jest ono tem gorsze od lat poprzednich, iż część znacznych obywateli i obywaterek miasta Krakowa (dzielnica Kazi-

mierz i Stradom), którzy czasem lubieli człowiekowi w czarnej godzinie dopomóc, czyli, używając wyrażenia technicznego czarnej giełdy, „wygodzyc“, już się wyewakuowała, lub lada dzień się wyewakuuje. Zresztą to wstrętne moratorium!

Póki więc czas, należałoby zwołać jakąś komisję lub ankietę, która by się poważnie nad tem zastanowiła, jak zaradzić złemu. Jeżdżą po mieście wozy, zbierające dla potrzebujących starą garderobę, opłaciłoby się może postąpić w ten sam sposób i zapelować do publicznej ofiarności, a możeby się zebrało coś zapasów dla łaknących i pagnących święconego, nie mających zaś na to.

Miałem zamiar rozpisać w tej sprawie kwestyony naryusz do wszystkich mych P. T. Czytelników, z prośbą, by się wygadali, ewentualnie wypisali, co myślą. Płacący prenumeratę mogliby pisać całkiem gratis, nie płacący byłiby obowiązani dołączyć do swego pisma odpowiedni allegat pod postacią kielbasy, szynki, flaszki wina i t. p. W ten sposób nie potrzebowałbym się troszczyć, skąd wziąć pieniędzy na ten cel i kto wie, czy nawet nie podzieliłbym się z potrzebującymi, nie chwając się bowiem, zaznaczyć muszę, iż bardzo chętnie widzę gości u siebie i przyjmuję ich po staropolsku, żałując przecież bardzo, iż minęły już te dobre czasy piastowskie, kiedy u ś. p. Rzepichy mnożyły się w cudowny sposób zapasy stałe i płynne. Ona mogła się śmiać z aprowizacji, choćby nawet kazano się zaopatrzyć nie na sześć miesięcy, ale na sześć lat!

Ale cóż! Mojej żonie na imię Weronisia, nie zaś Rzepicha, a do tego w posagu nie wniosła mi takich czarodziejskich półmisków i dzbanków!

Tak! tak! Stanowczo lepsze to były owe dawne czasy, kiedy to nie znano jeszcze saneczek i innych tego rodzaju nowomodnych wymysłów.

Z kronikarskiego obowiązku wypada mi zanotować, iż w dniu 3. marca b. r. obchodziliśmy w Krakowie bardzo sympatyczny jubileusz, o którym codzienne pisma tylko półgębkiem wspomniały.

Było to sześćdziesięciolecie istnienia jednokonnego dorożek, *ulgo* drynd, które cieszą się w Krakowie zasłużoną sympatią. Są wprawdzie malkotenci, bo gdzie ich niema, którzy porównują je z narzędziami męki, stosowanymi ongiś przez hiszpańską inkwizycję, ja przecież twierdzę, że tak źle nie jest. Co najwyżej nocną porą wyjeżdżają „na plac“ tego rodzaju stare klekoty, w których łatwo możesz roztrząść sobie kości, według opinii powag lekarskich wpływa to przecież bardzo dodatnio na organa trawienia, wskazanem więc jest po obfitym posiłku.

Aby uczcić tak podniosłą chwilę, postanowiłem przejechać się jednokonną dryndą i urządzić wywiad z woźnicą, starej daty bowiem krakowscy flakrzy, to kasta ludzi, jakich nie znajdziesz, choćbyś zjechał pół świata. Można na tem tle palnąć nawet impresję o. t. „Z wrażeń rozklekotanego“.

I trafiło mi się dobrze, spotkałem akurat taką dryndę jubilatkę, która z pewnością pamięta ową chwilę, gdy przed kopą lat jednokonki po raz pierwszy pojawiły się na ulicach Krakowa.

Łza rozczulenia zabłysła mi w oku! Myślą cofnąłem się w owe czasy, gdy zdobna dziewczyna świeżością z dumą toczyła się po miejskim bruku i jego wybojach. Jaka różnica między dziś, a owym wczoraj z przed lat sześćdziesięciu!... Odrapana i ustawicznie stękająca za każdym poruszeniem potrafiłaby wzruszyć nawet najbardziej zatwardziałe serce!



Krem do zębów

KALODONT

70 halerzy.

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

— Zakopane, Krupówki. —

WIELKI WYBÓR PERFUM.

<p>„Pamiętki patriotyczne.</p> <p>Wielki wybór biżuterii francuskiej i fantazyjnej</p> <p>MOZAIKI.</p> <p>Prawdziwe granaty.</p>	<p>Wyroby rzeźbione Zakopiańskie.</p> <p>Wyroby skórzane.</p> <p>Wielki wybór torebek damskich.</p>	<p>Wielki wybór ZABAWEK.</p> <p>Lalki</p> <p>Krakowianki.</p> <p>Laski i toporki.</p> <p>Kartki korespondencyjne ilustrowane.</p>
---	---	--